George O. Smith

Historia się powtarza

(History Repeats)

Astounding Science Fiction, May 1959
Ilustracje: Martinez
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain
This text is translation of the short story "History Repeats" by George Oliver Smith, published by Project Gutenberg, December 17, 2007 [EBook #23884]
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Astounding Science Fiction May 1959. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.



Są tacy, i prawdopodobnie zawsze będą, mieszkańcy Ziemi, którzy nie mogą i z tego powodu nie chcą, aby określać duszę ich własnością…



Xanabar rozciąga się w poprzek Spiralnego Ramienia, tworząc obszerną sferę wpływów, o dużym, potężnym i trwałym jądrze. Jedynie najdalsza granica może czasami lekko się uginać, pod wpływem jakichś okazjonalnie pojawiających się cywilizacji, które mogą dzisiaj zdobyć jakiś układ lub dwa, po to by utracić je następnego dnia, czy też za sto lat. Xanabar jest centralną placówką handlową galaktyki, ponieważ jedynie Xanabar jest na tyle silny, by stanąć za sklepową ladą, przy której spotykają się dwie walczące strony i zagrozić im natychmiastowym wyrzuceniem, jeżeli nie pochowają wyciągniętych mieczy do pochew. Za te usługi Xanabar pobiera odpowiedni procent, tak więc Xanabar jest bogaty. To bogactwo kupuje mu najemników, wymuszających jego doktryny. Dlatego Xanabar jest zepsuty aż do samego cna, ponieważ najemnicy nie mają innego boga poza złotem.

Gwar rozmów w stu różnych językach, mieszał się z brzękiem szkła, przebijając się przez obłoki dymu z palących się ziół, pochodzących z setek planet. Z kierunku jednego ze stołów, zaczęły dobiegać głośniejsze hałasy, spowodowane jakimś małym nieporozumieniem. Z jednej strony słychać było drwiący śmiech, a z drugiej ryk gniewu. Dwóch mężczyzn zerwało się z siedzeń i stanęło przed sobą, gotowych do zastąpienia miotanych obelg, przemocą. Zanim awantura zdążyła się na dobre rozpocząć, podszedł do nich kocim krokiem najemnik i lekko złapał za odchylone do tyłu ręce, szybkim ruchem zabierając uniesione kufle, zanim zdążyły pofrunąć w twarze przeciwników.

– Siadajcie! – powiedział zimno najemnik, a oni usiedli, spoglądając na siebie nawzajem płonącym wzrokiem.

– A teraz – kontynuował najemnik, – wyjaśnijcie dzielące was różnice, w rozmowie między sobą. Albo wynoście się stąd, w przeciwnych kierunkach. Tutaj jest Xanabar!

– On łże! Obrzydliwie się przechwala!

– Wcale nie kłamię. Oni *są* barbarzyńcami. I wcale się nie przechwalam. Mogę wam jednego przyprowadzić.

– Ty…

– Zakład – stwierdził najemnik. – Zakład. Xanabar nie przyjmuje podatków płaconych krwią. – Odwrócił się w stronę jednego z nich. – Ty twierdzisz, że możesz coś zrobić, podczas gdy on mówi, że nie dasz rady. – Potem, nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do drugiego. – A jeżeli on to zrobi, to ile byłbyś skłonny zapłacić?

– A ile jest warte jego życie?

– Ile byłbyś skłonny zapłacić? – zimno powtórzył swoje pytanie najemnik.

– Pięć cetnarów w ciętych kryształach.

– Godna suma. Czy zgadzasz się na nią?

– Za mało…

– Za tak łatwe zadanie, jak sam twierdzisz – powiedział najemnik, – pięćset funtów ciętych kryształów, wydaje się być uczciwą sumą.

– Ale to by znaczyło…

– My, tutaj w Xanabarze, nie jesteśmy zainteresowani szczegółami. Tylko podatkami. Uczciwy kontrakt na zakład, cudzoziemcy. W przeciwnym razie uznam, że wasza awantura, była zakłóceniem tutejszego spokoju.

Dwóch cudzoziemców popatrzyło na siebie, jak uczniacy złapani w kącie na bójce przez dyżurnego, który domaga się od nich gryza ze śniadaniowego jabłka, albo w przeciwnym razie grozi spotkaniem z dyrektorem. Jakby z niechęcią myśląc o dotyku tego drugiego, wyciągnęli do siebie z wahaniem dłonie i uścisnęli je, z krótkim, lekkim ruchem.

– Dobrze! – ucieszył się najemnik. Zamachał ręką i zbiegli się jego koledzy, z tabliczką z kontraktem i rylcem do grawerowania. – A teraz, panowie, proszę potwierdzić warunki umowy, dla Xanabaru.

Peter Hawley spacerował po bocznej ulicy, prowadząc przy nodze psa. Pies był wielorasowcem, ale nie była to mieszanina przypadkowego pochodzenia. Peter zatrzymał się przy jednej z przecznic i niepewnie rozglądał się w prawo i w lewo.

– A ty, co o tym myślisz, Buregarde?

– Szlachetny pies mówi, że w prawo – odpowiedział Buregarde.

– W prawo – potwierdził Peter i skręcił w ulicę. – I skończ już z tym zwrotem „Szlachetny pies”.

– Człowiek jest najlepszym przyjacielem psa – oznajmił Buregarde. – Gdybyś nazwał mnie jakoś sensownie, nie musiałbym sam sobie tego wyszukiwać. W Okeefenokee, w domu, na Ziemi stoi przecież pomnik poświęcony mojej osobie. A ja jestem szlachetnym psem. Pogo[1] tak mówił.

– Ja…

– Spokojnie, Peter! – przerwał mu pies, niemal szeptem.

– W porządku. A więc tylko tak sobie gadamy?

Buregarde usiadł, uniósł nos i zaczął węszyć. Już swoim naturalnym głosem, wydał z siebie lekki jęk niezadowolenia.

– Podobno mam całkiem niezły nos – poskarżył się. – Ale to jest tak, jakby próbować wywęszyć mysz, w ogrodzie zoologicznym, w środku lata.

– Skąd ta uwaga? – spytał go Peter.

[1] Pogo to tytułowa i główna postać kultowej wieloletniej serii komiksowej tworzonej w latach 1948-1975 przez rysownika Walta Kelly’ego. Jest to swoista mieszanina slapstickowej komedii i wyrafinowanego humoru, pełnego alegorii, gier słownych, powiedzonek oraz odniesień politycznych i literackich. Miejscem akcji są Bagna Okefenokee w Georgii, a w komiksie, obok samego Pogo, występuje paleta sugestywnych bohaterów. Jednym z nich jest pies Beauregard Bugleboy (a właściwie Beauregard Chaulmoogra Frontenac de Montmingle Bugleboy), uważający się za romantyczną i szlachetną osobistość, wygłaszając górnolotne oracje na temat swoich heroicznych wyczynów (przyp. tłumacza).

– Istoty wszystkich ras pachną tak samo, kiedy unoszą się przemocą – odparł pies. – Problem polega na tym, że zapach człowieka, nie mówi dokąd on idzie, tylko gdzie przychodził.

Peter chrząknął.

– Czy wyłapałeś jakiś kobiecy zapach?

– Tylko zwyczajny powiew. Zapach jest stary. Była tutaj, przechodziła tędy. Ale w którą stronę?

– Możemy się domyślać, że zrobili to po drodze z portu kosmicznego.

– Chyba że – powiedział pies, biorąc kolejny niuch powietrza, – zabierają ją tam z powrotem, do jakiegoś innego statku kosmicznego. – Buregarde popatrzył w górę, na Petera. – A czy ty coś odbierasz?

– Tylko zwyczajną mieszaninę strachu, niebezpieczeństwa, i szalonej rozpaczy.

– Kierunkowo?

Peter pokręcił przecząco głową.

– Nie – odparł. – Źródło jest za blisko.

– Chodźmy tą ulicą do końca, a następnie wrócimy po drugiej stronie – zaproponował pies. – Po cichu.

Maszerując, zachowywali czujność i gotowość. Z wyglądu byli tylko mężczyzną, na spacerze z psem. Ale w Xanabar, stolicy i największym mieście Imperium Xanabaru, byli łowcą i jego towarzyszem.

Jak wszystkie miasta, które miały więcej niż dziesięć milionów mieszkańców, Xanabar miał zarówno miejsca wspaniałe i błyszczące, jak również i slumsy –– a ponadto coś, co było zbliżone do dzielnicy portowej w nadmorskim mieście. Warunki jakie w niej panowały, były zupełnie takie same, jak w innych podobnych, od dziesiątków tysięcy lat. Zmieniała się jedynie technologia. Jaskinie w jakich mieszkali ludzie zbudowane były teraz ze stali i syntetycznego plastiku. Ludzie z tych jaskiń wymachiwali lepszymi toporami, a ich ciała chronione były przed warunkami atmosferycznymi, przy pomocy lepszych materiałów, bardziej trwałych niż zwykłe starodawne skóry. Ale byli to nadal ci sami ludzie, z tymi samymi włóczniami. Tylko sięgali po nie z setek innych powodów, niż ich przodkowie sięgali po swoje.

– Mam to! – zasygnalizował Buregarde, krótko wskazując głową, w stronę zamkniętych drzwi.

– Wchodzimy do środka!

Odpowiedź Buregarde’a, miała postać na wpół warknięcia, na wpół okrzyku:

– Uważaj!

Peter okręcił się na pięcie, i jednocześnie mignął mu w oczach obraz człowieka z pistoletem laserowym, kierującym go w jego stronę. Uchylił się w dół, w stronę napastnika, niemal dokładnie w przeciwnym kierunku, niż ruch pistoletu, który rozbłysnął, i zamiótł promieniem do góry. Peter odzyskał równowagę, i jednocześnie złapał za nadgarstek prawej ręki

drugiego człowieka. Potem rzucił się do tyłu, przetaczając się i ciągnąc napastnika za sobą, oraz unosząc kolana, by wyrzucić go w górę wysokim łukiem, który skończył się ciężkim łupnięciem ciała, uderzającego o chodnik całą długością pleców. W stronę leżącego skoczył Buregarde, rzucając się do ręki trzymającej pistolet, trzykrotnie szarpnął głową do przodu i do tyłu, wyrzucając broń w powietrze. Potem z dzikim warczeniem przywarł swoim miękkim pyskiem do gardła napastnika, pozwalając by człowiek poczuł nacisk jego kłów.

– Spokojnie – powiedział Peter.

Buregarde odsunął się kilka cali do tyłu.

– Nie ma żadnego spokojnie – rzucił ostro. – Ten człowiek jest najgorszym wrogiem szlachetnego psa. Chciał przelać twoją krew.

– Tylko spokojnie. Potrzebuję od niego informacji.

Leżący człowiek popatrzył w górę.

– Ziemski barbarzyńca! – warknął.

Peter zaszydził.

– I gdzież niby to jesteśmy? We wspaniałym mieście nazywanym Xanabar, stolicy wielkiej cywilizacji. Marmurowe pałace pełne błękitnokrwistej arystokracji, i śmierdzące aleje pełne ludzkich szczurów. Gdzie ona jest?

Leżący mężczyzna splunął.

– Buregarde, nie chcesz trochę świeżego mięska?

– Dostałbym po tym szczurze niestrawności. Tylko gryzonie pożerają osobniki swojego gatunku.

– Może lekkie ugryzienie?

– Ale nie będę musiał połykać?

– Nie. Po prostu go chapnij…

– Zaczekaj, barbarzyńco…

– To ja jestem ziemskim barbarzyńcą? A ty może miałeś zamiar, przy pomocy tego lasera, zaprosić mnie na herbatkę i ciasteczka?

– Ja…

– Mów! – ostro warknął Peter. – Gdzie ona jest?

– Kto?

– Buregarde… ?

– Tak, szefie. Gardło, czy druga ręka?

– W porządku, niech ci będzie na twoje. Ona jest tam w środku. Wejdź tam tylko… i będziemy mieli was dwoje!

Buregarde warknął:

– Nas troje, a to może być trudne do przełknięcia.

Peter wstał i szarpnięciem postawił obcego na nogi. Po prawej ręce napastnika spływały krople krwi, pozostałe po kłach psa. Peter rozejrzał się dookoła, znalazł pistolet i rozbił go o kamienną ścianę z przodu budynku. Szturchnął obcego w twarz, obrócił go do tyłu, i popchnął go w stronę dalszego rogu budynku.

– Policzę do trzech – powiedział. – Jeżeli na trzy, będziesz ciągle w zasięgu wzroku…

– To będzie prawdziwa przyjemność, Peter – dokończył groźbę Buregarde.

Obcy napastnik ruszył z kopyta, w szaleńczym biegu. Kiedy skręcił za róg, zderzył się czołem z jednym z nieumundurowanych najemników z Xanabaru. Najemnik złapał obcego za kołnierz, a następnie szybko zlustrował wzrokiem jego zranioną prawą dłoń oraz porwane ubranie, i dodając te fakty do przerażonego galopu, zmusił obcego do zawrócenia, trzymając go za wykręconą do tyłu lewą rękę.

Wyniośle zaczął się dopytywać:

– Co się tu dzieje na ulicach Xanabar?

Peter kwaśno zmierzył najemnika wzrokiem.

– Porwanie i próba morderstwa.

– A kto twierdzi, że takie bezprawie szerzy się na ulicach Xanabar?

– Ja tak twierdzę. Peter Hawley, ze Służby Pozaziemskiej. Ja tak twierdzę.

– Jesteś w błędzie, barbarzyńco.

– Ja też tak twierdzę – odezwał się Buregarde.

– Ty jesteś zwierzęciem.

– Jestem… tak samo jak i ty.

– Nie pozwolę by zwierzę mnie obrażało! Jestem…

– Spokojnie, Buregarde.

– Niczym się nie przejmuj. Ten najemny krawężnik zapomniał o jednej rzeczy… albo może o niej nawet nie wiedział.

– Nie nazywaj Strażników Pokoju Jego Ekscelencji „najemnikami”! – ostro warknął najemnik.

– Strażnicy Pokoju – zachichotał pies. – No dobrze, posłuchaj, i nabierz trochę rozumu. Pies i człowiek, człowiek i pies, żyli u swego boku, przez około pół miliona lat. Kiedyś pies pomagał człowiekowi, w czasie wojny czy też pokoju, a człowiek zapewniał psu jedzenie i schronienie. Pies pomógł człowiekowi wznieść się ponad poziom dzikusa, a człowiek pomógł psu wznieść się do poziomu istoty inteligentnej. Ale pies ma jedną przewagę. Nikt z nas nie był inteligentny dostatecznie długo, aby naprawdę uwierzyć, że pies ma duszę, a ci z nas którzy w to wierzą, wiedzą również, że dusza psa poświęcona jest człowiekowi. Czy wiesz coś o psach, xanabiański… Strażniku Pokoju?

– Nie…

– A więc nie zmuszaj mnie do tego, abym ci pokazał, jakim przeciwnikiem może być inteligentny pies. Zwykły człowiek jest dla mnie drobnostką!

– Pchi!

Buregarde rzucił się szaleńczym pędem obiegając dookoła najemnika. Strażnik Pokoju Jego Ekscelencji odwrócił się do tyłu, by stać przodem do psa, stając w ten sposób plecami do Petera. Zrobił więc krok w tył i w bok i sięgnął po swój ciężki służbowy laser. Pies wydał z siebie niski ostrzegawczy warkot, i sprężył się do skoku.

– To oznaczało… Strażniku Pokoju – spokojnie powiedział Peter Hawley, – „Wyciągnij tylko ten laser, a porwę twoją dłoń na strzępy, zanim zdążysz go unieść do góry”.

Najemnik wciągnął głębszy oddech.

– Spróbuj tylko zagwizdać po pomoc, a on rzuci ci się do gardła.

– Nie pozwolę temu pozbawionemu szacunku dla prawa…

– No to przestań gadać i posłuchaj nas! – warknął Peter. – Oskarżam Imperium Xanabaru, o zbrodnię obojętności wobec zagrożenia życia i zdrowia znajdującej się w jego bramach obcej istoty. Oskarżam o porwanie i próbę morderstwa, i o to ostatnie oskarżam tego osobnika, którego trzymasz właśnie w ręku.

– Cudzoziemiec!

– To co? Czy on wnosi swoje prawa do Xanabaru? Jeżeli on może, to ja również!

– Aresztuję was wszystkich za złamanie pokoju Xanabaru.

– Mnie też? – spytał go Buregarde.

Najemnik zignorował złośliwy docinek psa.

– Jesteś uzbrojony, Ziemianinie.

– Podobnie jak i on.

– Podobnie jak i ja – warknął Buregarde, w bardzo efektownym geście prezentując garnitur pięknych białych kłów.

– To się musi skończyć! – zagrzmiał najemnik. – Nie możecie grozić Strażnikom Pokoju Jego Ekscelencji!

Buregarde warknął zniecierpliwiony:

– Szefie, daj w łapę temu najemnikowi cięty kryształ. Musimy odnaleźć dziewczynę!

– Dziewczynę? Ziemską dziewczynę? – dopytywał się najemnik z coraz szerzej otwierającymi się oczyma.

– Córka naszego posła do Lonaphite. Panna Vanessa Lewis. Po raz ostatni widziano ją w jej kabinie, na pokładzie Ziemskiego Statku Kosmicznego *Polaris*, podczas podchodzenia do lądowania w porcie kosmicznym Cytadeli Xanabaru.

Najemnik stwierdził:

– To robota cudzoziemców –– motłochu takiego jak on!

– A więc – ostro rzucił Peter Hawley, – czy Strażnicy Pokoju Jego Ekscelencji tolerują takie rzeczy?

– Utrzymujemy Pokój Xanabaru. Twoje oskarżenia, to tylko słowa, Ziemianinie.

– Ziemski barbarzyńco, co nie?

– Aresztuję was…

– Och, przestań już. Czy za pięć funtów ciętych kryształów, dasz się przekupić, żeby zaholować tego osobnika do więzienia i pozwolisz mi zająć się zaprowadzaniem mojego własnego Pokoju Xanabaru?

– Czyżbyś oskarżał mnie o przyjmowanie łapówek?

– Jesteś przecież najemnikiem, czy nie? Siedem funtów ciętych kryształów.

– Dziesięć.

– Siedem – upierał się Peter.

– Dziesięć – odparł najemnik, – i masz wliczony jeden dodatkowy kant w przyszłości.

– Dziesięć – zgodził się Peter Hawley. – I patrzysz w drugą stronę, kiedy otworzę portfel.

– **N**adal to czuję – powiedział Buregarde, obwąchując zamknięte drzwi, ale jednym okiem pilnując znikającego w oddali najemnika i jego więźnia.

– Ja również to mam. Ciągle odbieram strach i niepokój. Strach, przed krzywdą, niepokój tym co stanie się dalej.

– Silne?

– Zdecydowanie – stwierdził Peter, zamykając oczy i wstrzymując oddech.

– Nic co dało by się namierzyć? – spytał go pies, odczekawszy pełną minutę.

– Nie. To niedobrze, że nigdy nie zostałem jej przedstawiony. Nie mam pojęcia, jak silny może być jej umysł… czekaj! – Kolejna minuta upłynęła w zupełnej ciszy. Koncentracja Petera Hawleya była za głęboka, aby mogły ją zakłócić nocne odgłosy dzielnicy slumsów, otaczającej miejski port kosmiczny. Pies odsunął się od drzwi, i zajął pozycję na czujce, pilnując Petera w czasie gdy mężczyzna zagłębił się w swój własny umysł. W końcu Peter ocknął się i ze smutkiem pokręcił głową.

– Przez chwilę wydawało mi się, że mnie odebrała. Przelotna myśl na temat ratunku lub ucieczki, pojęcie wolności, lot, bezpieczeństwo. Ale to tylko pobożne życzenia. Nie było żadnego kontaktu. Wejdźmy do środka.

– Ładujemy się na siłę, czy wślizgujemy po cichu? – spytał pies.

– Po cichu.

– Ty pierwszy, proszę – powiedział Buregarde.

Z zewnątrz, całe to miejsce wyglądało na puste i zamknięte. Drzwi były solidne, z plastikowej imitacji brązu, przez który nie przedostawało się ani światło, ani żaden odgłos. Okna były zupełnie ciemne. Ale kiedy drzwi zostały już pokonane, z wypełnionej światłem szczeliny, wypłynęła przez nie na zewnątrz powódź dźwięków, wypełniając ulicę echami i ich kolejnymi odbiciami.

– Podobno mieliśmy się wkraść po cichu – stwierdził pies.

– No cóż, każdy robi błędy.

W środku, ponad niską ladą pochylała się kobieta.

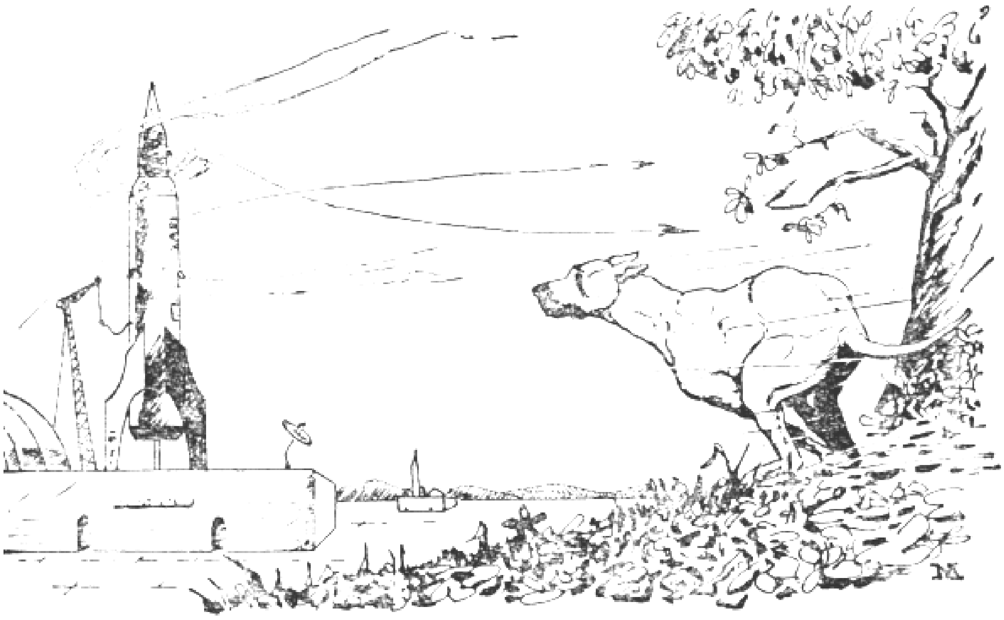
– Przechowalnia obowiązkowa. Proszę zostawić bro… słuchaj! Nie możesz wprowadzić tutaj, tego zwierzaka!

Buregarde zaprotestował.

– On mnie wcale nie wprowadza. Jestem tutaj, ponieważ to lubię.

Oczy kobiety powiększyły się wyraźnie.

– Co to… za…



– Jestem najlepszym przyjacielem człowieka –– szlachetny pies z barbarzyńskiej Terry.

– Tak… ale…

– Och – beztroskim tonem oznajmił Peter, – szukamy przyjaciela.

– Przyjaciela? A kim on jest?

– To jest ona, a nie on, i nazywa się Vanessa Lewis.

– Nie ma tutaj nikogo takiego.

– Ta pani jest kłamczuchą, Peter. Czuję jej silny zapach.

– Tylko rzucimy sobie okiem – powiedział Peter do dziewczyny z przechowalni.

– Będziecie musieli zostawić swoją broń.

– Już raczej wolałbym tam wejść nago. Przykro mi. Nie dzisiaj. Dzisiaj wydaje mi się, że broń może być mi bardzo potrzebna. Chodźmy, Buregarde.

Człowiek i pies ostrożnie ruszyli korytarzem. Buregarde spytał:

– Żadnego kontaktu?

– Odebrałem lekkie wrażenie czujności, niebezpieczeństwa, wezwania strażników.

– Wyczuwam zapach przemocy – powiedział pies. – I…

Otworzyły się drzwi na drugim końcu korytarza, i wyszedł z nich wielki mężczyzna.

– Co się tutaj dzieje – dopytywał się stanowczo.

Dziewczyna z przechowalni powiedziała:

– On nie chciał oddać na przechowanie…

Wielki mężczyzna sięgnął do kieszeni na biodrze.

– Bierz go od góry! – zawołał Peter i obaj skoczyli do przodu.

Peter rzucił się do kolan mężczyzny, podczas gdy Buregarde rozpędził się trzema susami, składając się i rozkładając jak akordeon, a następnie poleciał długim susem, z głośnym warkotem i kłami wycelowanymi prosto w gardło mężczyzny. Człowiek i pies uderzyli w niego dołem i górą, zanim zdołał otworzyć usta do krzyku, zanim udało mu się wyciągnąć zaplątany w fałdy kieszeni pistolet laserowy. Potem nastąpiła chwila krótkiej kotłowaniny, która zakończyła się kiedy Buregarde uniósł głowę mężczyzny i walnął nią mocno o podłogę.

Słabym głosem dziewczyna dokończyła rozpoczętą wcześniej kwestię:

– … swojej broni!

I upadła, tracąc przytomność.

Buregarde otrząsnął się gwałtownie i zajął się swoimi szczękami, zlizując krew z ran. Peter zajrzał przez otwarte drzwi, naprzeciwko okienka przechowalni. Awantura nie została zauważona, przez wypełniający pomieszczenie tłum marynarzy i miejscowego motłochu.

Gwar rozmów w stu różnych językach, ciągle nadal mieszał się z brzękiem szkła i denerwujących dźwięków xanabiańskiej muzyki. Unoszący się dym z setek palonych papierosów z różnego, mocno pewnie szkodliwego zielska, wisiał w warstwach po całym pomieszczeniu. Przy stojącym w dalszym roku sali stoliku, siedziało twarzą w twarz dwóch mężczyzn, a ich miny tworzyły swoiście dobrany zestaw. Na obliczu jednego z nich widać było podszyty silnym żalem i zazdrością podziw. Wypłacał on właśnie pięćset funtów ciętych kryształów, legalnej waluty Xanabaru, drugiemu mężczyźnie, emanującemu pewnością siebie i chciwością. Wymianę nadzorował jeden ze Strażników Pokoju Jego Wysokości. Chłodno oddzielił od stosu pięćdziesiąt funtów i dołączył je do wypełnionego, podpisanego i potwierdzonego kontraktu na zakład. Oddzielił jeszcze pięć funtów do swojej własnej kiesy i wsunął je za cholewę wysokiego buta.

Peter Hawley i kroczący obok niego Buregarde przemknęli się koło sali, wchodząc do pomieszczenia za drzwiami na drugim końcu korytarza, ciągnąc za sobą za nogi, swojego ostatniego przeciwnika. Korzystając z osłony przed widownią z odległej sali, Peter sprawdził stan leżącego człowieka i wzruszył ramionami:

– Być może przeżyje – stwierdził chłodnym tonem, – jeżeli nie wykrwawi się na śmierć.

– Naprawdę, to ty powinieneś zaatakować jego górę – żałośnie poskarżył się Buregarde. – Wszystko co mogłem zrobić z tymi moimi zębami, to złapać go jak najmocniej. Z kostek tak bardzo się nie krwawi.

– Po co tak stał, jak ten słup soli – szorstko powiedział Peter.

– Nie powinieneś raczej spodziewać się pochwał od szefa, za taką brutalność.

– Przede wszystkim, to nie musielibyśmy się przez to wszystko brnąć, gdyby Xanabar nie był zepsuty do szpiku kości. No dobrze, chodźmy już.

– Czy nie powinieneś wezwać reszty ekipy?

– Nie, dopóki nie będę pewny, że dziewczyna jest tutaj. Nie chciałbym przerwać poszukiwań w całym mieście, z powodu być może mylnego śladu.

– Ona tutaj jest. Wyczuwam ją.

– Być może to już czas przeszły, Buregarde. Albo może to jakaś inna kobieta.

– Niewykluczone. Ale jedna sprawa: To zdecydowanie jest ziemska kobieta. – Pies ponownie wciągnął powietrze do nosa. – Odbierasz coś?

– Nie więcej niż przedtem. Dochodzi z bliska i jest to mniej więcej ten sam zestaw wrażeń. Pomimo wszystko jednak, to ciągle może być jakakolwiek kobieta, która szaleje ze strachu i niepokoju.

– Ja… ćśśś! – Ostro zakończone uszy Buregarde'a stanęły instynktownie w reakcji na dobiegający z daleka dźwięk, którego nie byłby w stanie wychwycić żaden człowiek. Przekrzywiając głowę, pies odchylił jedno ucho do tyłu, odsłaniając znajdujący się pod spodem kanał słuchowy. Jak soniczny namiernik kierunkowy, Buregarde przekręcił swój łeb i nasłuchiwał.

– Jakiś człowiek – oznajmił w końcu niskim, przechodzącym w warkot głosem. – Peter, zaraz tutaj będzie się cholernie dużo działo. Właśnie natknął się na miejsce naszej ostatniej walki.

– Spróbujmy przebić się dalej!

Peter zaczął otwierać drzwi, i zaglądać przez nie; pies biegał przed człowiekiem, głęboko węsząc aby sprawdzić co się za nimi kryje. I to właśnie pies znalazł właściwe pomieszczenie.

– Tutaj! – zawołał, a Peter pogonił naprzód, w tej samej chwili kiedy jakiś facet na wychodzących z korytarza schodach, wrzasnął coś w swoim języku.

Peter kopnął nogą drzwi, z półobrotu, otwierając je z trzaskiem na oścież, aż wyleciały z futryny. Pies sprężył się, przyczajony i uważny. Peter wślizgnął się do środka i zaczął macać ręką, próbując wyczuć włącznik światła. Gdzieś w środku usłyszeli jakieś nieartykułowane przerażone kwilenie, a z zewnątrz i z dołu, dobiegał tupot kilku par ciężkich butów. Peter w końcu znalazł przełącznik i pomieszczenie zalało światło. Dziewczyna –– niezależnie od tego czy była to panna Vanessa Lewis, czy jakakolwiek inna porwana i uwięziona osoba, widać było że to jest dziewczyna z Ziemi –– leżała związana na łóżku, z ustami zalepionymi plastrem.

– Przepraszam – powiedział Peter głosem, który jak miał nadzieję, zabrzmiał uspokajająco. Wyciągnął rękę, odkleił różek plastra i zerwał go jednym szarpnięciem. Dziewczyna wrzasnęła z bólu. Peter lekko ją klepnął – Przestań – ostro polecił. – Vanessa Lewis?

– Tak, ale…

– Peter, wezwij marines – warknął pies.

– Nie, Bo! Wracaj!

Z oporem pies cofnął się do pomieszczenia. Przywarł do podłogi, gotowy do skoku, z nosem tuż za framugą drzwi.

– Jest ich czterech – błagalnie pisnął. – Mogę dopaść dwóch…

– No cóż, ja nie jestem w stanie dopaść pozostałej dwójki, chyba że będę miał spore szczęście. – ostro odparł Peter. – Nie bądź taki skory do daremnej śmierci, Buregarde.

– Te wszystkie kalkulacje – kwaśno gderał pies. – Nie nazwałbym tego specjalną stratą, gdybym dopadł dwóch za jednego.

– A ja nazwałbym stratą każde rozwiązanie, które nie dałoby mi całej czwórki, za nikogo –– albo, jeżeli już o to chodzi, całego cholernego Imperium Xanabar, za nikogo. Mamy robotę do wykonania, i nikomu nie wolno umierać, dopóki panna Lewis nie znajdzie się z powrotem poza tą wspaniałą Cytadelą.

Dziewczyna wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Nie potrzebowali w żaden sposób się uwiarygodniać. Sami z siebie byli potwierdzeniem swoich dobrych intencji. Tylko ludzie –– ludzie z Ziemi –– mieli inteligentne psy, które mogłyby pracować u ich boku. Kropka, koniec pytań. Buregarde warknął ostrzegawczo przy drzwiach, akurat wtedy gdy Peter skończył zrywać jej plaster z nadgarstków i kostek.

Ktoś zawołał z zewnątrz:

– Wychodzić, albo będziemy strzelać!

Buregarde warknął w odpowiedzi:

– Spróbujcie tylko wejść tutaj, a potniemy was na kawałeczki!

Błyskawica wystrzału z pistoletu laserowego, przecięła powietrze tuż ponad nosem psa. Buregarde rzucił się do tyłu, zanim świetlny lancet ciął w dół, a następnie kiedy mała niebezpieczna smuga zamigotała i zgasła, rzucił się z powrotem naprzód, by szybko zerknąć na zewnątrz.

– Ostrożnie, Bo!

– Wezwij chłopców – ostro rzucił pies. – Ja spróbuję…

Nagle nadleciał jakiś wirujący przedmiot, odbił się od framugi drzwi, spadając tuż za progiem. Buregarde skoczył, zanurkował za nim i złapał go jeszcze w powietrzu. Targnął łbem w szaleńczym zamachu, i odrzucił to coś z powrotem na zewnątrz, zanim Peter rozpoznał co to może być. Pies okręcił się i wylądował na czterech łapach. Wtedy przedmiot wybuchł na zewnątrz, z głuchym *puff*! Dostrzegli niewielki rozbłysk światła, który szybko został zduszony przez kłąb gęstego dymu. Buregarde wskoczył w ten obłok i zniknął w nim zupełnie. Rozległ się ochrypły wrzask i brawurowy chrobot psich pazurów na twardej podłodze, a następnie odgłos ciężkiego łupnięcia i rozgniewany warkot psa, którego zęby zaciskają się właśnie na czymś miękkim. Potem rozległ się szybki tupot psich nóg i Buregarde wpadł przez drzwi w szaleńczym pędzie, ześlizgnął się w bok, aby zniknąć z otwartej przestrzeni i bezpiecznie się skryć, moment wcześniej zanim błysnął promień lasera, podążający jego śladem.

– Dopadłem go – oznajmił pies usatysfakcjonowanym tonem. – To jest jeden!

Ponownie zajął swój posterunek przy framudze drzwi, z wystawionym tuż na zewnątrz koniuszkiem nosa. Na zewnątrz, w korytarzu, odbyła się szybka narada, po której Buregarde zawołał:

– Mają zamiar rzucić się na nas biegiem, wszyscy na raz!

Panna Lewis spytała:

– I co teraz zrobimy?

– Odeprzemy ich – odparł Peter. – Teraz już nie mogą wygrać, dopóki jesteśmy przy życiu. Cała moja załoga jest właśnie w drodze, biegną ile sił w nogach. A jeżeli narobimy wystarczająco dużo hałasu, to mogą nawet wpaść tutaj jacyś Strażnicy Pokoju Jego Ekscelencji, i domagać się swojego udziału w zyskach. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ile pani jest warta, panno Lewis?

Zadrżała.

– Nie wiem ile mój ojciec mógłby zapłacić…

– Wal ich nisko, Peter – dobiegło warczenie Buregarde'a.

Nadbiegło trzech mężczyzn, wsadzili głowy przez otwarte drzwi, złapali namiary na cele, i piekło rozpętało się na dobre. Buregarde złapał pierwszego, chwytając go za gardło. Upadli na podłogę, w szaleńczym wirze psa i bandyty, łap, ogona, rąk, nóg i strumieni krwi. Drugi strzelił do Petera z pistoletu laserowego. Ładunek kapsuły zasilającej wyczerpał się. Intensywność promienia spadła do poziomu zwykłego kłującego żądła, zanim zdołał skierować go w jego ciało. Trzeci zamachnął się nogą, aby kopnąć walczącego psa. Vanessa Lewis chwyciła jakieś leżące na biurku pudło i cisnęła nim w tego drugiego. Peter nacisnął palcem spust swojego pistoletu laserowego i zranił trzeciego mężczyznę z boku w biceps. Buregarde skoczył do dłoni drugiego napastnika, w której trzymał on broń. Jego zęby zamknęły się na niej w tej samej chwili, gdy lecące w jego stronę pudło otworzyło się i sypnęło mu w twarz deszczem drobnych bibelotów. Mężczyzna z zakrwawionym gardłem zamłócił rękoma i złapał Petera za kostkę. Peter nadepnął mu piętą drugiej nogi na twarz. Panna Lewis uniosła lampę stołową i jednym ruchem wyłączyła światło i przerwała film, osobnikowi z przypalonym przez laser ramieniem.

Buregarde puścił nadgarstek drugiego z napastników i sprężył się do skoku. Mężczyzna skulił się, zasłaniając zdrową dłonią gardło i drugą, zwisającą bezwładnie rękę. Wydawał z siebie wrzaski przerażenia, w jakimś języku, tubylców pochodzących z jakiejś gwiazdy odległej o tysiące lat świetlnych galaktycznej przestrzeni.

Na zimno, Peter dał krok do przodu i walnął go w splot słoneczny.

– A teraz – stwierdził spokojnie, – zmienimy nieco czyjeś plany.

Ruszyli razem, ramie w ramię, ostrożnie wyglądając na zewnątrz. Buregarde znajdował się w środku, pomiędzy nimi, i lekko wysunął się do przodu.

– Wychodzimy stąd! – zawołał pies. – Trójka barbarzyńców z Terry!

Dalej, na ciemnej ulicy, ponownie napotkali swojego najemnika. Przyjrzał im się skwaszonym wzrokiem.

– Widzę, że, w pewnym sensie, udało wam się.

Peter Hawley stanął przed najemnikiem.

– Rzeczywiście nam się udało. Czy masz zamiar coś z tym zrobić?

– Będę musiał cię aresztować, wiesz przecież.

– Spróbuj tylko, a stracisz rękę – ostro rzucił pies.

– Dzisiejszej nocy popełniono morderstwo – oznajmił Strażnik Pokoju Jego Ekscelencji. – Pokój Xanabaru został zakłócony.

– Słuchaj ty tępy kołku, dzisiejszej nocy było również porwanie, i…

– Niestety, będę musiał prosić, aby ta młoda dama, okazała swój paszport – zażądał najemnik. – W przeciwnym razie, będę musiał uznać, że przebywa w Cytadeli Xanabar nielegalnie.

Buregarde zaproponował:

– Walnij go w bebech, Peter. Właśnie nadchodzą chłopcy.

– Nie!

– Tylko raz… tak dla przyjemności?

– Nie. Chcę, aby nasz pracowicie ciułający pieniądze Strażnik Pokoju, zaniósł Jego Ekscelencji wiadomość. Chciałbym aby Jego Ekscelencja poczytał o czymś z ziemskiej historii. Kiedyś, dawno temu, było miejsce nazywane Cesarstwem Bizantyjskim, które położone było na ważnych szlakach handlowych. Wyższa warstwa społeczeństwa zajmowała się służbą Uosobieniu Boga na złotym tronie, podczas gdy ich służący zajmowali się handlem niewolnikami i zdobywali śliczne konkubiny dla cesarza. Ich policjanci byli przekupni, i życie ludzkie było tam bardzo tanie. A kiedy Bizancjum upadło, cały świat został zmuszony do znalezienia sobie nowych szlaków handlowych. Powiedz więc Jego Ekscelencji, aby lepiej uprzątnął trochę swój śmierdzący bałagan, albo jacyś barbarzyńcy, uprzątną go dla niego.

– A to – dorzucił Buregarde, – odnosi się do was, ty wyleniały kocurze!

KONIEC